

Janusz Ramotowski

część IV z X

Sygnatura notacji: **N0174**

Data urodzenia: **28.07.1950 r.**

Data nagrania: **29.08.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otwock, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min, część III: 62 min, część IV: 30 min, część V: 62 min,**

część VI: 61 min, część VII: 31 min, część VIII: 61 min, część IX: 45 min, część X: 42 min,

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Janusz Ramotowski: W każdym razie przy dużej ilości zadawanych pytań, pytań neutralnych albo dla niego oczywistych, jeżeli się wrzuca tematy, które są istotne, to on się gubił, mimo że tego powinni ich uczyć, przecież oni tak przesłuchują. I z tej rozmowy mnie parę rzeczy tam wyszło, na przykład jego lokal na Świerczewskiego, parę rzeczy wyskoczyło, sam się do tego przyznał, sam to powiedział. Ale to są detale, to tak naprawdę, a jaka różnica gdzie on tam tę chatę miał, jakim samochodem on jeździł. I tak to nie były jego samochody, tylko samochody resortu. Natomiast odnośnie jego tam dalszych zadań i celów, no to on tego nigdy nie powie, bo on nie powie. Dlaczego ma to powiedzieć? Zresztą pytanie: na ile on był świadomy, jaki jest cel jego wędrówek po tym podziemiu? Oni mogli go, powiedzmy wpuszczać w jakieś rzeczy, mówiąc, że będzie kawałek dalej, ale no czekając na rezultaty, patrząc, co się da zrobić dalej, prawda. Na pewno Alek, wspólnie z nim bardzo chcieli kontaktu tuż po aresztowaniu Teosia z Regionem. I nawet ten kontakt dostali, bo Ewa z Konradem, z Konradem Bilińskim się z nimi spotkali. Jak to Ewa opowiada: Kundzio robił jak rasowy – no cholera, patrzcie jak... No nie psychiatra, tylko psycholog. Tam próbował tego, znaczy, Kotarskiego nie było, to był sam Alek. Ale taki był cel, no w momencie, kiedy mieliby ich, w końcu tak czy inaczej, Ewa, Konrad, no i Zbyszek Bujak wpadli inaczej. Więc ta akcja przestała być potrzebna do czegośkolwiek. Zresztą, wiesz, to był ten moment, kiedy padało wszystko. Padło RKW, padło TKK. Znowu w moich sporach z moimi dawnymi kolegami z podziemia, oni próbują forsować koniecznie tezę, że i RKW i TKK to były takie organizacyjki w zasadzie do niczego i nic nierobiące. Tak naprawdę to Solidarność Walcząca. I tak naprawdę to właśnie te pości-gi to były za Solidarnością Walczącą. Przykro mi bardzo, do mojego wyjazdu z Polski w Warszawie nie było Solidarności Walczącej. Ot po prostu nie było i koniec. Była to lokalna organizacja wrocławska, działająca lepiej lub gorzej, no działająca. No i tyle. Robienie w tej chwili z nich czołówki podziemia solidarnościowego jest po prostu

nadużyciem. Jest nadużyciem i to potwornym nadużyciem. Oni nie stworzyli... no wiadomo było, że jednak ten główny kierunek oporu prowadzi TTK, no i później regionalne struktury. Wyszło inaczej. Oglądałem jakiś taki filmik cudowny z akcji Solidarności Walczącej no i mówiąc prawdę, wzruszyłem się. Wzruszyłem się. Ja bym tego tak nie potrafił zrobić. Ukrywali jakiegoś człowieka, takiego Polako-Amerykanina, to znaczy, Polaka z pochodzenia, obywatelstwo amerykańskie. I on w tym Wrocławiu tam z tą Solidarnością Walczącą działał. W którymś momencie była absolutna konieczność wyewakuowania go do Stanów Zjednoczonych. No to jak go wyewakuować? Przez ambasadę. No to przez ambasadę takie rzeczy się robi najlepiej. Więc na szczęście chłopcy z Wrocławia – dwóch ich było – mieli w Warszawie kontakt: kuzyna, który był taksówkarzem, miał taksówkę i na szczęście Wołgę i na szczęście czarną. Więc oni przewieźli tego człowieka. Sami przyjechali do Warszawy, następnie na Wołdze został zainstalowany proporzeczek ambasady północno-koreańskiej. Oni zostali ubrani, ci chłopcy, w takie skórzane kurty i czapy radziecko-koreańskie. Podjechali pod ambasadę. Wysiadł jeden z tych chłopców, podszedł do wartownika, który tam stoi, mówi: „proszę otworzyć, jesteśmy delegacja koreańska”. No i co miał zrobić ten biedny wartownik? Musiał otworzyć. No to otworzył, no nie drzwi, nie bramy, oni tam nie wjechali do środka, ale otworzył furtkę. No to ten Polako-Amerykanin: chyc w tą furtkę, a oni: chyc do czarnej Wołgi i chodu. I ani bezpieka, która się pętała pod tą ambasadą, ani funkcjonariusze ochraniający ambasadę, niczego nie zauważyli. Nie jest to piękna akcja? Ja bym tak nie potrafił. No nie uwierzyłbym w to, że ja wyjdę w czapce północno-koreańskiej, powiem wartownikowi: „otwieraj, bo ja jestem delegacja”. Co on zrobi? Naciśnie na guziczek albo weźmie telefon, powie: „halo!”. Jakaś delegacja taka dziwna, ale delegacja. Do tego czasu nikt nawet by nie wyszedł. To by się rzucili na nich jak kałmuki na kobitę i by się skończyła ta cała zabawa. – To pan mówi o tym... – Film puszczoney, dokumentalny film. Proszę bardzo, uczestnicy opowiadają. I przepraszam, jak można mówić takie bzdury? Jak ja mam obudzić w sobie jakikolwiek szacunek do firmy, która opowiada takie bzdury? No ja nie mogę, przepraszam, nie mogę, nie dam rady. Ja wiem, że filmy z Jamesem Bondem są fantastyczne i pełne cudownych akcji, ale ten cały numer jest po prostu totalną bzdurą. Ja nie mam pojęcia, co ja bym robił, jakbym miał takiego człowieka przerzucić. Proszę bardzo, Marian Kaleta, nasz dostawca sprzętu ze Szwecji, miał taki temat. Nie Amerykanin polskiego pochodzenia, tylko żołnierz radziecki, który uciekł z koszar w Legnicy na dzień czy dwa przed stanem wojennym. Wziął chłopaczyną, uciekł, do Warszawy dojechał w mundurze, został przebrany w siedzibie Niezależnego Zrzeszenia Studentów w cywilne ciuchy. Ten mundur został jego tam i w zdjęciach z 13 grudnia na rządowej telewizji pokazywali ten mundur jako dowód na spisek, który szykują studenci, żeby udawać armię radziecką. Chłopak się uchował. Chłopak był chowany przez lata w Polsce. No bo to był 1981, no był grudzień, powiedzmy, 1982 rok. Ja wyjechałem w 1985, on jeszcze się chował w Polsce. W 1986 roku został z Polski wyewakuowany. Przez kogo? Przez Mariana Kaletę. W jaki sposób? Nie ambasada, nie czapy, nie takie cuda, tylko Marian nawiązał kontakt z przemytnikami jugosłowiańskimi. Myślę, że on miał bieżący kontakt z nimi zresztą. Zostało dostarczone zdjęcie tego chłopaka. No i oni tam w tej Jugosławii znaleźli człowieka dosyć podobnego do tego naszego uciekiniera. I on wystąpił o paszport, z tym że dał zdjęcie tego żołnierza. Powstał autentyczny paszport jugosłowiański. Na tym paszporcie ten Jug przyjechał do Polski. Przekazał ten paszport temu chłopakowi. Chłopak miał samodzielnie przejechać przez granicę polsko-niemiecką. Miał dojechać samodzielnie do Berlina Zachodniego. W Berlinie Zachodnim czekał na niego Marian i miał go samolotem już zawieźć do Francji. On przejechał, ten kawałek przejechał. I co się okazało? Jest strajk. Linie lotnicze nie latają. Trzeba go wieźć pociągami. Trzeba go wieźć pociągami. No to co? No dwa bilety na pociąg, wagon sypialny, żeby nie pałętać się z innymi ludźmi. No i obydwaj w tym wagonie sypialnym sobie tam zalegli. Przychodzi kuszetkowy: „Dzień dobry,

paszporty poproszę”. Marian daje paszporty. On mówi: „O, Jugosłowianin, bo wie Pan, ja też jestem Jugosłowianin – ten kuszetkowy – to ja załatwię moją robotę i przyjdę pogadać”. No i znowu panika, no co robić? No bo jaki on Jugol, on ruski, nie? Marian upił tego chłopaka w sztok. Jak kuszetkowy wrócił, to tamten był... Że ani słowa. Zresztą ten numer powtórzył później Czempiński, wyciągając tych ludzi z Iraku. Dokładnie ten sam numer. W każdym razie przewiózł tego żołnierza. Przewiózł go do Paryża. Dwie czołowe gazety francuskie: „Libération” – bardziej na lewo, „Le Monde” – bardziej na prawo, podały informację o tym, że tutaj z Polski został przemycony ruski żołnierz, który się ukrywał, tyle a tyle. Do obydwu tych dziennikarzy, którzy napisali te artykuły, nastąpiły natychmiast włamania. W związku z tym myśmy wszyscy uznali, że o ruskim żołnierzu to my opowiadać nie będziemy. I przez lata całe się o tym w ogóle nie mówiło. W którymś momencie Marian, jak czuł, że już tak dojeżdża, mówi: wiesz, co, trzeba by było może, o tym zacząć mówić. No zobacz, my już będziemy korkować, ja to już chyba niedługo, i w końcu nikt nie będzie wiedział. Wtedy zacząłem o tym mówić. Marian, no nie, nie zdążył nawet dać żadnego wywiadu. Ale to był autentyczny przerzut człowieka, zrobiony w sposób profesjonalny. A nie czapki i nie pierdoły tam. Gdzieś czytałem też, że Solidarność Walcząca ze Szczecina – nie wiem tam, z której fabryki, no pewnie z tej, ze stoczni, bo jak inaczej w Szczecinie – oni zrobili w tej robocie karabin maszynowy. Zrobili karabin maszynowy, zrobili. No hura. Chętnie bym się z tymi ludźmi spotkał, najchętniej przed kamerą, przed telewizornią, żeby sobie na ten temat pogadać, bo zrobić karabin maszynowy, jest to bardzo wiele problemów. To nie jest takie sobie oczywiste. I z tego, co tam próbowałem wyczytać, to wyglądało na to, że oni o tych karabinach pojęcie mieli stosunkowo niewielkie.

Artur Kłus: Ja bym chciał o jeszcze jedną rzecz dopytać, o czym pan tutaj już powiedział, nawiązał trochę, mówiąc o Kotarskim vel Pękalskim, o kwestii jakby tej śmierci „Długiego Piotra”. Jakie z pana perspektywy są przyczyny doprowadzenia tego zdarzenia?

Janusz Ramotowski: Ja z Piotrem byłem bardzo blisko, przez cały okres, jak my się poznali. Ciągłe byliśmy koło siebie, można powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi. Więc całą tę karierę podziemną Piotra niejako znam od podszewki, od środka. – Mówimy o „Długim Piotrze”, czyli? – Piotr Mazurek. Piotr miał szczęście do wpadek od czasu do czasu. Z tym że te wpadki jakoś tam przechodziły. Była heca, później go zwalniali, później on znowu zaczynał działać, był na liście, był na liście, natomiast nieszczęścia zaczęły się w momencie, kiedy zjawił się koło nas Kotarski vel Pękalski, bo w jednym z meldunków on pisze o Piotrze, opisuje Piotra, opisuje jego sposób konspiracji, etc., etc. Zresztą traktuje go poważnie i jako dobrego konspiratora. Piotr władował się przy okazji magazynu wyrzutników pirotechnicznych. Władował się przy okazji tych wyrzutników z tym że on zdążył się schować. Piotr się zdążył schować, więc jego nie zdjęli wtedy. Ten magazyn był jakiegoś tam pociota z jego rodziny. Żeby to ułatwić jeszcze. Więc Piotr ukrywał się przez jakiś okres czasu. No a później tam kolejna amnestia, no i Piotr wyszedł, no bo po co się ukrywać. Jak wpadł ten magazyn, wszystko wskazuje na to, że nadał ten magazyn Kotarski vel Pękalski. Piotr wyszedł, jakiś czas później został porwany, został porwany, został zwieziony, no diabli wiedzą, gdzie. Do dzisiaj, cały czas pada jedna odpowiedź: Magdalenka. To nie było aż tak. Tych miejsc, tych ośrodków było więcej, ale ja nie mam pojęcia. I wtedy mu grożono, że po prostu załatwią jego córkę i jego żonę. Albo on podpisze współpracę. Według mnie, Piotr podpisał współpracę, myśląc, że potrafi ich wymanewrować, będzie opowiadał bzdury, no i to jakoś tam przejdzie. Nie przeszło. I w momencie, kiedy on zrozumiał, że nie da się oszukać, a problemem jest on, nie ma jego – nie ma problemu, no i popełnił samobójstwo. I tyle. Szkoda, bo mówił, że jak by wyjeżdżał z Polski, to Nowa Zelandia. Więc my żeśmy wyjeżdżali,

Piotr nas odwoził na lotnisko: Piotruś przecież widzę, że jesteś zmęczony, że już nie dajesz rady. My poczekamy w tym Paryżu. Zbierz rodzinę w kupę, przyjeżdżaj, pojedziemy razem do Nowej Zelandii. Piotr mówi: „wiesz, ty tego jeszcze „Przemo” nie czujesz, nikt nie czuje, a oni są słabi, oni padną. Trzeba ich jeszcze trochę popchnąć, to ja ich popchnę”. No i to oni jego popchnęli, nie fizycznie, bo to nie było jakieś tam zabójstwo, jacyś tam apacze, którzy weszli, tam go wypchnęli przez to okno. On mieszkał u teściowej. I gdyby tam wtargnęli ludzie, którzy go wyrzucili przez okno, to przecież teściowa o tym by opowiedziała. Byli jacyś ludzie poprzedniego dnia wieczorem u niego. I on następnego dnia rano wyskoczył przez okno. Byli to prawdopodobnie chłopcy z resortu. No i Piotr obciążony tym wszystkim tak, że nie wiedział, co z tym robić, wyskoczył przez okno. Jego największym błędem było co innego. On wierzył w to, że on potrafi sam prywatnie stawić czoła temu wszystkiemu. Jego ojciec był rzemieślnikiem dosyć dobrze notowanym, miał parę fajnych koneksji. I Piotrowi się wydawało, że bez obciążania, powiedzmy, struktur solidarnościowych, adwokatów solidarnościowych, etc., oni potrafią takie sprawy załatwić sami, na swój rachunek. I to był błąd, bo gdyby Piotr natychmiast po tym, jak został zwierzbowany, przekazał tę informację, jeżeli ta informacja by nabrała życia takiego otwartego, jeżeli za tym stanęliby adwokaci, powiedzmy, ci z czołówki polskiej, to oni by już do tego Piotra tak nie brykali. A on się sam wystawił niejako na strzał. No bo był sam, prawda? Był sam, o tym wszystkim nie wiedział nikt. W zasadzie o tym wszystkim się dowiedzieliśmy później, czy Teoś się dowiedział, jak Piotr zginął. Ja się dowiedziałem, jak przyjechałem do Polski. Rozmawiałem z jego ojcem jeszcze później. Rozmawiałem z jego żoną. No i to obraz wydarzeń jest jasny. Natomiast błędem było to, że on się nie... Nie potrzebował pomocy ze strony tego, co istniało, a to istniało dobrze, wokół tego Świętego Marcina, to naprawdę dobrze pracowało. Tak że nie ma Piotra. To nie wiem... Po śmierci Teosia. Nawet nie wiedziałem, że Teoś zginął. Wiozłem jakieś rzeczy, które on potrzebował, jak w Regionie, tego „Kuriera Mazowsza” prowadził. Ja mu jakieś rzeczy pokupowałem, jechałem, żeby się z Teosiem spotkać. Dowiedziałem się, że Teoś nie żyje. Pojechałem na cmentarz na Powązki, szukać grobu i Teosia, i Piotra. I wtedy jeden jedyny raz się zryczałem, w jakiś taki sposób potworny. Zupełnie niesamowity. A później się po tym moim łbie pętała taka myśl, że po raz pierwszy zapisuję sobie ich adresy. I się wcale nie martwię, że te adresy przejmie bezpieka. To były adresy na cmentarzu niestety. Takie tam...

Artur Kłus: Ale pan poznał Kotarskiego vel Pękalskiego i było też takie myślenie, jakieś podejrzenie, że to może być...?

Janusz Ramotowski: On jak się zjawił – a zjawił się na jesieni 1982 roku w Grupach – w którymś momencie – nie jestem w stanie powiedzieć, jaki to był moment, czy to był 1982, czy może już początek 1983 – Teoś przywiózł go na te moje – znaczy, na te moje, na te osiedle, gdzie mieszkalem, tam na Wawrzyszewie – Kotarski przywiózł Teosia, no bo Kotarski miał samochód. To nie było pod moim blokiem, to nawet nie było pod jeszcze następnym blokiem, ale tam gdzieś, no już wśród tych bloków, Teoś tam do mnie miał sprawy państwowej wagi. No i gdzieś tam dalej stał ten samochód i przy tym samochodzie stał człowiek. Ja się na niego spojrzałem i się przeraziłem, bo on miał coś takiego w oczach, że nie da rady. On tak jakby tymi oczami na tą odległość już chciał mnie przeszukać. Coś w tych oczach takiego było, takiego nefajnego. Więc tam załatwiliśmy sprawy, zapytałem się: kto to jest, a Teoś tam opowiedział tą całą legendę, że on ze Szczecina, że ukrywa się w Warszawie, etc., etc. Powiedziałem: „Teoś, ja tego człowieka nie mam potrzeby widzieć, nie mam chęci widzieć. Jeszcze cię proszę, żebyś nawet nie podciągał w te rejony, gdzie ja bywam, gdzie mieszkam, czy coś takiego”. Po prostu od razu mi się na samym początku nie spodobał. A szczęśliwie

nie mieliśmy żadnych powodów, powiedzmy, natury technicznej, organizacyjnej, żeby się widywać, żeby czymkolwiek się razem zajmować. Więc ja go po prostu unikałem. Prawdopodobnie, znaczy prawdopodobnie, nie jest prawdopodobnie, jest na pewno. Odkąd się jeszcze jedno spotkanie, w którym on uczestniczył, bo wiesz, mam raport z tego spotkania, notatkę, którą sporządził, że Kotarski vel Pękalski. Kurczę, i nikt z uczestników tego spotkania – niektórych to już nie ma – sobie go nie przypomina. Ja go sobie nie przypominam, „Gruby Piotr” sobie go nie przypominał, Grzesiek Raczyński sobie go nie przypominał, a on tam był i on pisał raport z tego spotkania. Nie jestem w stanie tego pojąć, zrozumieć. Zresztą samo spotkanie on mi przypominał tym raportem. To był drugi raz, jak żeśmy się widzieli. I czy był trzeci raz? Chyba już nawet trzeciego razu nie było. On był gdzieś tam... Odsunąłem, zresztą... Kotarski nie miał świadomości, że ja odbieram te transporty, bo Alek nie mógł się nigdy pogodzić z tym, że on ich nie odbiera. Odebrał dwa, ale Alek ciągle opowiadał, że on je ciągle odbiera. No i bardzo dobrze, że tak opowiadał. Zresztą te opowieści o tym odbiorze są tak malownicze, jak sam Alek, to można dołączyć do tego filmu o tym przerzucie tego Amerykano-Polaka. Alek odbierał transport w ten sposób, że transport był już namierzony na samej granicy przez służby. Alek zorganizował drugą taką samą ciężarówkę, identyczną. Wstawił ją do stodoły, która miała z jednej strony wjazd, a z drugiej wyjazd. Przewoźnik wjechał do tej stodoły tą ciężarówką właściwą. Wtedy z drugiej strony stodoły wyjechała ta ciężarówka fałszywa. Bezpieka ogłupiała, pojechała za tą fałszywą ciężarówką, a oni już trzask-prask, zrobili wszystko, co trzeba. No piękne, no. – To wersja... – To James Bond jeszcze w jednym wydaniu. – A jak to się odbywało? – To było dużo prostsze. To znaczy, jak ja zacząłem odbierać transporty, bo Wojtek był od początku, pierwsza sprawa to było, że to było odbierane pod kościołami. Były wyrzucane dary charytatywne. Ciężarówka miała tam schowek, 70 cm było zgubione w tej ciężarówce od środka, otwierano ten schowek i wywalono ten sprzęt. Pod tym kościołem. No więc tam później ci księża musieli jakoś partycypować trochę w chowaniu, tego wszystkiego się pewnie wywieźć nie dało. No i taki stan rzeczy był, jak ja to wziąłem. Już nawet nie Sven [Sven Järn], tylko jakiś transport z darami. Poleciałem pod kościół, zobaczyć jak to wygląda. I się przeraziłem. Przecież to kupa ludzi, która czeka na te dary. Kto jest, kto w tym tłumie, to naprawdę nie da rady rozpoznać. No i nie, po prostu nie i koniec. Tak się nie da robić. Pierwszy ten transport miałem odebrać w kościele w Międzyzlesiu. Ale wtedy już powiedziałem, że nie, że po prostu zabieramy Svena i robimy to w lesie. No i koniec. – Jeszcze wracając, nie wchodząc w kwestie tych transportów, tylko jeszcze w kwestii Kotarskiego vel Pękalskiego, to chciałbym się zapytać, czy Wy nie mieliście tego kontaktu, tak? Ja nie mówię, że dwa razy wtedy już spotkaliście. Ale było tak, że wśród Grup było poczucie, że ten ktoś jest tak blisko, czy Alka, czy Teosia i było jakieś takie zdziwienie, dlaczego tak się łatwo i szybko udało mu dotrzeć do...? – Ja myślę, że przez bardzo długo, przez cały ten okres stanu wojennego i tych wszystkich historii, nikt nie podejrzewał go poważnie o to, że on jest, no wtyką, nie mówiąc o tym, że jest oficerem jednak MSW. To przyszło później. I ja tam zaczynałem tę książkę robić z Domagalskim – mniejsza o tym, jak ta nasza współpraca przebiegała – ale wtedy, jak zaczynaliśmy zbierać materiały, zaczęliśmy się przyglądać tej książce, znaczy, temu, co mamy, zaczęło nam wyglądać na to, że on może być wtyką. – Wówczas takich podejrzeń aż nie było? – Przez ten cały okres czasu, ja myślę, że w ogóle żadnych podejrzeń nie było. To był porządny człowiek, dzielny działacz podziemia. Dowód na to, że w końcu po stanie wojennym przejął to wydawnictwo Rytm. Może po świńsku, ale przejął. No i był wysoko notowany, prawda. IPN w końcu też współpracował z nim pełną gębą. I jakie tam podejrzania o to, że to mógł być oficer bezpieczeństwa? To się zaczęło w momencie, kiedy te notatki, te materiały, zaczynały jakoś tak się krystalizować. Ja się już rozstałem z Domagalskim, kiedy on dostał po prostu z IPN-u jego fiszkę osobową. Jak on dostał, to mniej więcej wiem, ale to tam już mniejsza o to. W każdym razie dostał jego dosje, pełne, niepełne, wystarczające na to, żeby nie

było obiekcji. No i wtedy wyszło, że człowiek, którego podejrzewaliśmy o to, że był Tajnym Współpracownikiem, był po prostu oficerem MSW. No i tyle, nie? Ale to, co wynikło, zaczęło się właśnie od poszukiwania w sprawie tej książki. Ale Anka, ta dziewczyna, która miała dziecko, ma dziecko z Alkiem, powiedziała: „Absolutnie nie jestem w stanie wam uwierzyć”. A przecież był z nami cały czas. On spał u nich tam, gdzie Alka z... Alkiem, znaczy, z Alą, wszystko jedno, Ania z Alkiem mieszkała, to Tadeusz Kotarski vel Pękalski spał tam w fotelu. On był 24 godziny na 24 godziny. To jaki to może być ubek? A on spał tam w fotelu, bo musiał mieć nad Alkiem łapę położoną dokładnie. No i tyle, nie? Nato- miast wypłynął dopiero przy okazji, kiedy miała powstać ta książka – na początku wspólna, później już niewspólna.